

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Ofiara dziecka polskiego.

(Wiersz napisany z powodu walk o naukę religii w języku ojczystym w Poznańskim.)

Któreż to dziecko na świecie
Pragnie nauki swej wiary
W mowie przepięknej macierzy,
I od ojczystych pacierzy
Nie go odwrócić nie zdoła,
Chociaż jest ciężką dlań szkoła? —
To polskie dziecię!

Któreż to dziecko na świecie
Biegnie do świętej figury,
Serce do Boga podnosi,
Rączki wyciąga do góry,
Płacze i błaga i prosi,
Pragnąc w duszyczce swej czystej
Świętej nauki ojczystej? —
To polskie dziecię!

Któreż to dziecko na świecie
Z chłosty znakami na ciele
Z szkolnej wracając mitregi,
Jest rozklęzione w kościele,
Wzywa niebieskiej potęgi,
Szuka osłony jej skrzydeł
W świętych obronie prawdeł? —
To polskie dziecię!

Któreż to dziecko na świecie
Męstwa przykłady nam daje
Broniąc ojczystej swej wiary
I bohaterem się staje
Znosząc cierpienia i kary? —
To bohaterskie w swej wierze,
Bogu oddane w ofierze —
To polskie dziecię!

Któreż to dziecko na świecie
Co z Izaakiem na stosie
Życie swe oddać gotowe,
Bo w nieszczęśliwym swym losie
Spełnia rozkazy ojcowe,
W poszanowaniu swej wiary
Idzie na ołtarz ofiary? —
To polskie dziecię!
Jan Poleski.

Piękny zwyczaj.

Dzieci szkolne w wielu miejscowościach, gdzie za posłuszeństwo względem rodziców odsiadywać muszą areszt, udają się przed Kościół lub przed Bożą mękę i tam wspólnie modlą się i śpiewają nabożne pieśni.

Zwyczaj ten bardzo piękny i godny naśladowania.

Owe dziateki cierpią za to, że więcej słuchają przykazania Bożego niż rozkazu ludzkiego, a więc cierpią za wiarę. Cierpienie to Bogu jest przyjemne, a tem przyjemniejsze, skoro dzieci ofiarują je Bogu na chwałę.

Wiele u Boga znaczy modlitwa dzieci, więc, da Bóg, te modlitwy dziątek polskich, cierpiących za wiarę, zostaną wysłuchane tam przed tronem Najwyższego i sprawią, że władze szkolne zaprzestaną nauki religii używać do celów świeckich i skłonią się do zasad Kościoła św., który nakazuje religii nauczać w języku ojczystym!

Niewidomy.

Pewien, bardzo słabego rozumu człowiek, był oprócz tego tak nieszczęśliwy, że powoli

tracił wzrok. Wówczas w swej prostocie mawiał do siebie:

— Nie pojmuję, doprawdy, co się słońcu stało, ale co dzień mniej jasno świeci. Teraz już światło księżycy, mało co różni się od słonecznego!

Po pewnym przeciągu czasu, kiedy wzrok jego jeszcze się bardziej zepsuł, rzekł znowu:

— Straszny to widok, ale niestety, prawdziwy! Słońce ma już tylko złowrogiej czerwoności promienie. Liście potraciły swoje naturalne barwy; wszystko, co naokoło siebie widzę, jest szare jak popiół lub czarne jak węgiel.

Nakoniec, kiedy już zupełnie zaniewidział, zawołał:

— Otóż teraz już słońce zupełnie zgasło: w południe tak jest ciemno, jak dawniej o północy.

Napróżno ludzie z całej wioski powtarzali mu, że słońce zawsze jednakowo świeci; nie chciał im wcale wierzyć i bez ustanku szeptał: „Niema już słońca, ponura noc okrywa całą ziemię!”

Ani na chwilę nie przyszło mu do głowy, że to utrata wzroku stała dla niego przyczyną ciemności.

Jeden rozsądny i pobożny człowiek widząc go, rzekł:

— Ze złym człowiekiem, który już stracił wiarę w Bogu i w rzeczy święte, dzieje się tak samo, jak z tym niewidomym. Kiedy umysł jego nie już świętego pojąć nie może, wiara na wieki gaśnie w jego sercu.

Boże! ciemnością nie okryj nam wzroku,
I w duszy światło prawdy racz zapalić,
Byśmy Cię mogli znać, miłować, chwalić,
I wielbić w dzieł Twych cudownym widoku!

Niedźwiedź.

Ogromny niedźwiedź przebywał w gęstym lesie. Wojciech i Jakób, dwaj młodzi myśliwi, którzy podróżowali razem, posłyszawszy o nim, rzekli do siebie:

— Musimy upolować tego niedźwiedza.

Odtąd codziennie, od samego rana, chodzili do lasu na czaty, a wieczorem wracali do oberży i, choć nie mieli pieniędzy, pili najlepsze wino.

— Jak zabijemy niedźwiedzia — mówili do oberżysty — sprzedamy natychmiast skórę; to wystarczy na zapłacenie za wszystko, co tu zjemy i wypijemy.

Pewnego dnia, kiedy podług zwyczaju przebiegali knieje, niedźwiedź wyszedł naprzeciw nich, mrużąc w przerażający sposób,

Wojciech zmierzył i wypalił, ale ponieważ ręka mu drżała ze strachu, chybił. Rzucił więc broń w krzaki, a sam wdarł się na drzewo. Jakób chciał także strzelić, ale kapiszon pękł, i fuzya nie wypaliła; położył się zatem na ziemi i udął umarłego. Niedźwiedź, zbliżywszy się do niego, obwąchał mu usta, nos i uszy, potem odszedł powoli, bo niedźwiedzie nie ruszają trupów.

Skoro straszliwe zwierzę było już daleko, Wojciech, żartując, zapytał towarzysza:

— Jakóbie, co on ci szeptał do ucha?

— Co mi szeptał? — odpowiedział Jakób

— oto dał mi przestrożę, abyśmy na przyszłość nie sprzedawali skóry niedźwiedzia, dopóki go nie zabijemy.

— Słusznie mówił — dodał z uśmiechem Wojciech i powtórzył towarzyszowe słowa, których będąc dzieckiem, nauczył się od ojca, a o których na nieszczęście zapomniał, polując na niedźwiedzia.

„Rozporządzać tem, czego nie masz, a co może Pełna zawodów przyszłość kiedyś ci przyniesie, Jestto sprzedawać dzisiaj przyszłoroczne zboże, Albo skórę niedźwiedzia, gdy ten jeszcze w lesie“.

Różaniec jako środek ocalenia.

Pewnego razu Józef, młody leśniczy hrabięgo Gomberga, błąkał się po lesie smutny i ponury. Spudłował on kilkakrotnie strzelając do sarny, zgubił róg z prochem, najbardziej zaś martwiło go to, że kłusownicy stawali się coraz zuchwalsi i z większe niż kiedykolwiek śmiałością wiodli swe rzemiosło. Wreszcie przyszedł na ścieżkę, wiodącą w prostej linii do pałacu, gdy pies jego zaczął nagle szczekać i skoczył do rowu, w głębi którego usłyszał leśniczy lekkie jęki westchnienia. Udał się więc tam niezwłocznie, po chwili zaś ujrzał starą kobietę, która niosąc na barkach sporą wiązkę chrustu, zbieranego w lesie, wpadła przypadkiem do rowu i nie mogła powstać o własnych siłach. Józef ze współzuciem dopomógł staruszce wydobyć się z przepaści, ale biedna kobieta tak okaleczyła nogę, że nietylko iść, ale nawet stać nie mogła. Nie namyślając się przeto długo, dzielny chłopak wziął staruszkę na plecy i dzięki młodzieńczej swej sile, zaniosł ją bez trudności do chaty stojącej w pobliżu. Tam położył chorą na ubogiem łożu, obmył skaleczoną nogę winem, które na polowaniu nosił zawsze ze sobą, i obwiązał ją kawałkiem czystego płótna.

Wówczas biedna kobieta, która już w lesie nazwała Józefa wspaniałomyślnem swym wybawcą zaczęła znowu w sposób jak najserdeczniejszy wyrażać swą wdzięczność.

— Niech ci Bóg wynagrodzi stokrotnie za okazane względem mnie miłosierdzie! — zawołała

wzruszona. — Możesz z pewnością zaeny młodzieńcze spodziewać się szczęścia jak na tym tak też i na tamtym świecie, w każdej zaś potrzebie i niebezpieczeństwie Pan Bóg ześle ci niezawodnie takiego szlachetnego dobroczyńcę, jakim sam dla mnie dziś byłeś.

To mówiąc staruszka wydobyla z pod poduszki różanec ozdobiony błyszczącym stalowym krzyżkiem i z rozrzewiającą prostotą podała go leśniczemu.

— Nie gardź tym ubogim darem starej kobiety, która nic więcej dać ci nie może — odezwiała się serdecznie. Weź go, proszę cię, jest on dla mnie nader cenną pamiątką, gdyż należał do mojego Jasia, o którym już od dawna żadnej nie miałam wieści.

Przy tych słowach gruba łza stoczyła się po bladych zmarszczonych policzkach chorej. Józef ze wzruszeniem spojrzał na staruszkę.

— Dziękuję wam serdecznie za waszą dobroć — rzekł — lecz ponieważ różanec stanowi dla was tak drogą pamiątkę, zatrzymajcie go więc u siebie.

— O nie, weź go, weź kochany panie — nalegała staruszka. Jestto wprawdzie ubogi upominek, ale łaska Boża może wielką nadać mu wartość. Jesteś jeszcze młody i wyglądasz tak pocziwie, że musisz z pewnością być pobożnym chłopakiem, nieprawdaż?

Józef nie opierał się dłużej i nie mówiąc ani słowa, schował różanec do kieszeni, położył na stole trochę pieniędzy i pożegnał serdecznie starą kobietę. Słowa jej głębokie na umyśle młodzieńca wywarły wrażenie, przypominały mu bowiem napomnienia pocziwego ojca, czuł zaś niestety, że nader rzadko do nich się stosował i to go martwiło. W pałacu niewiele się modlono; hrabia lubił wino, grę w karty i inne rozrywki, a nawet wymagał, aby wszyscy domownicy naśladowali go w tej mierze. Od tej chwili jednak Józef postanowił wbrew złym przykładom, widzianym dokoła, modlić się gorąco i wytrwale, jak to pocziwy jego ojciec tak często i usilnie mu zalecał.

Powoli zmrok zaczął zapadać. Józef zaś miał jeszcze do przebycia gęsty, chociaż nie wielki las, do którego wysłał poprzednio strzelców z rozkazem, aby zaczekali tam na niego. Zaledwie jednak doszedł do połowy lasu, gdy pies jego nagle zaczął szczekać, po chwili zaś zblityli się doń dwaj ludzie z nabitą bronią w ręku. Józef nie tracąc ani chwili czasu zdjął strzelbę z ramienia i przygotował się do obrony.

— Schowaj swą strzelbę, jeżeli ci życie miłe — ozwał się napastnicy — i zawołaj tego nieznośnego psa. Życie twe — dodał jeden z nich — w naszym znajduje się ręku, darujemy ci je wszakże, jeżeli nam przysięgniesz, że nas nie zdradzisz i że w przeciągu tygodnia, złożysz dla nas 50 złotych, na kamieniu pod lipą. W takim tylko razie obiecujemy cię ulaskawić.

— Niepotrzebuję ulaskawienia od niegodziwców i opryszków, — zawołał gwałtownie odważny młodzieniec i wystrzelił do napastników. Jeden z nich upadł, ale w tejże samej chwili Józef ugodzony kulą w pierś przez drugiego, stracił przytomność i padł na ziemię. Przystępując do siebie spostrzegł ze zdziwieniem, że się znajduje w swoim pokoju na łóżku, przy którym stał chirurg i kilku strzelców hrabięgo. Biedny chłopak czuł dotkliwy ból w piersiach, nie mógł sobie zdać sprawy z tego co zaszło. Koledzy więc opowiedzieli mu, że się właśnie znajdowali w lesie, gdy rozległy się strzały i że zwróciwszy się niezwłocznie w tym kierunku, przerażili się niezmiernie, widząc zabitego już bez żadnych znaków życia. Natychmiast więc zanieśli go do zamku, gdzie chirurg Wawrzyniec opatrzył mu ranę.

— Widocznie jakiś dach opiekuńczy musiał czuwać nad panem — odezwał się ten ostatni — bo gdyby kula nie trafiła na niespodzianą przeszkodę, to w tej chwili nie należałbyś pan do żyjących. Proszę zgadnąć, co tak znakomitą oddało panu przysługę?

— Mój Różanec — zawołał z radością Józef, który już teraz całkowicie odzyskał przytomność.

— Tak, rzeczywiście — odrzekł lekarz — miałeś go wówczas na piersiach i temu jedynie zawdzięczasz swoje ocalenie, że gruby krzyżek osłabił uderzenie kuli, która cię tylko lekko zadrasnęła. W przeciągu tygodnia, kochany panie, będziesz już zdrow jak ryba.

Dzielni chłopcy.

Obrazek historyczny.

Słońce ostatnimi promieniami oświetliło ziemię i znikło gdzieś za górami — za lasami. Działek odziewał się powoli szatą pomroku. Gwar ludzi, powracających z pól i łąk od pracy zmniejszał się.

W wieśniackiej chacie klęczy uboga kobieta z dwoma synami przed obrazem Najświętszej Panny. Modlitwa wieczorna, szczera, rzewna, płynie z ich serca, aniołowie zanoszą ją przed Ojca niebieskiego. Po skończonych modłach pocałowali chłopcy na „dobra noc“ ręce drogiej matki i położyli się na spoczynek.

Błękitne niebios sklepienie zasiało się już dawno jasnymi złotymi gwiazdkami, cisza nocy roztoczyła swe panowanie nad pocziwymi mieszkańcami tej wioski. Staś i Bolesław śpią równie pod opiekuńczym skrzydłem swego anioła, ale ich mateczka nie zmrzyla oka. Ona jeszcze modli się — czuwa. Spogląda na swe ukochane dzieci, łza zakręciła się w oku i potoczy po jej troskami zora-

nem licu. Oaa już wdową od lat kilku. Bóg zabrał jej męża a dzieciom ojca. Przypomina sobie chwile błogie, kiedy troski o materialne ich potrzeby spoczywały przeważnie na głowie męża, widzi tę czułość i tę miłość ojcowską... ona biedna cały ciężar wychowania i wszelkich potrzeb do życia sama ponosić musi. Ciężka dola ubogiej wdowy ścisła jej serce... ale tylko wyszeptala.

— Dziej się wola Boża — i pogrążyła się w zadumie chrześcijańskiej...

Wtem przerwał jej myśli jakiś hałas. Przestraszona kobieta zbliża się do okienka. Słucha... krzyki się wzmagają i w jednej chwili złowroga pożaru luna zawisła w powietrzu!

Z bijącym gwałtownie sercem wybiegła na próg chaty, — spostrzega uciekających mieszkańców wioski i słyszy rozpaczliwe ich krzyki:

— Uciekajcie i chrońcie się, gdzie kto może, bo Litwini napadli wieś... o Boże ratuj nas!

Przelekniona matka budzi synów, porywa ich za ręce i razem z innymi nieszczęśliwymi szuka ocalenia w ucieczce.

Litwini był to onego czasu naród pogański, dziki a wielce nieprzyjazny Polakom. Napadali oni często na ziemie polskie, rabowali chaty, dwory i kościoły — palili wioski i miasta — uprowadzali w niewolę mężczyzn, kobiety i dzieci, a broniących się straszliwie mordowali! Pozostawiali oni po sobie okropny widok: zgłiszczą budynków, ziemię krwią przesiąkła, płacz i jęki rozpaczliwe tych, co się ukryć przed ich okiem potrafili!...

Właśnie wpadli oni i teraz do Polski w ziemię lubelską, czyniąc wszędzie wielkie spustoszenia.

I w tej wiosce nikt prawie z mieszkańców nie ocalał się. Litwini bowiem rozbiegli się na wszystkie strony, uciekających pochwytili, skrupowali ich grubymi sznurami i jako jeńców uprowadzili ze sobą. Los ten okrutny spotkał także i ową biedną wdowę z dwoma synami.

Panował wtenczas w Polsce Leszek Czarny. Ten dowiedziawszy się o napadzie pogańskiej tłuszczy, zebrał zaraz nieco rycerstwa i zbrojnego ludu i wyruszył z Krakowa na spotkanie się z nieprzyjacielem. Litwini, mając już dużo bogactw złupionych i tysiące ludu polskiego w niewolę zabranego, zdążyli właśnie ku swoim siedzibom. Dzielny atoli Leszek doznał ich niedaleko Lublina, lecz dowiedział się zarazem, że liczba wrogów przeważała podwójnie liczbę polskich wojowników. Nie chcąc przeto i tej garstki rycerstwa polskiego utracić w niepewnym dlań boju, w gorącej modlitwie prosił Boga o pomoc. Modlitwa pokrzepiła walecznego króla, Bóg natchnął go dobrą myślą:

— Za wiarę i ojczyznę walcz niewzruszony! — odezwał się w nim głos wewnętrzny i ten mu dodał otuchy.

Na czele swego rycerstwa stanął Leszek do otwartego boju z nieprzyjacielem. Przyszło do bitwy. Krzyk, jęk i wrzawa walczących, przepelniały powietrze i odbijały się z trwogą o uszy więźniów, którzy skrupowani powrozami na oddzielnem ustawieni byli miejscu. Drżąc od niepewności i oczekiwania, smutnie oni po sobie spoglądali.

— O Boże ratuj nas! — wyjękła nareszcie wdowa, ocierając swe oczy skrupowanymi dłońmi i spoglądając z boleśnią na małych swych synów, których Litwini z powodu młodości ich wolnymi od więzów zostawili.

— Mamo kochana — rzekł po chwili Staś, — ciebie muszę bardzo boleć ręce od tych sznurów; daj, ja ci rozwiążę!

— Tak jest — dodał Boles — my ze Stasiem mamy tyle siły, aby cię mamu kochana od tych więzów uwolnić!

Nieszczęśliwa matka wzniosła oczy ku niebu i rzekła:

— Dziej się wola Boża — a potem podała ręce swe synom, którzy je po wielkich mezołach z sznurów uwolnili.

— Teraz zawołała wdowa jakby w nadchnięciu, — kiedy stróże nasi zajęci są bitwą, pomóżmy towarzyszym niedoli. To mówiąc, zwrócił się ku najbliższemu jeńcowi i rozwiązała skrupowanego. Szybko spadały postronki z rąk więźniów. Nakoniec, gdy już wszyscy byli wolni — rzekł jeden mąż, odwagą przejęty:

— Teraz niech każdy uzbroi się w co może i uderzy na tę dzicz przekłętą!

W mgnieniu oka przelamawszy strażę, napadli niedawni jeńcy na tylne szeregi Litwinów.

Wielki popłoch i zamęt powstał między poganami. Trudno się było obronić z dwóch stron przed nacierającymi Polakami. Wróg został zwyciężony. Mnóstwo pogan legło na placu boju. Reszta niedobitków ratując swe życie uciekła do Litwy.

Działo się to w r. 1288.

Waleczny Leszek upadł z rycerstwem polskim na kolana, dziękując Bogu za odniesione nad dzikim narodem zwycięstwo. Dowiedział się król również o Stasiu i Bolesiu, którzy z miłości ku matce tak dzielnie się spisali i przez to przyczynili się nie mało do pokonania nieprzyjaciół.

Na pamiątkę tego zwycięstwa i na wieczny za nie cześć Bogu, zbudował Leszek wspaniałą kościół w Lublinie.

Staś i Boles wyrosli z czasem na walecznych mężów, byli zawsze pociechą i pomocą swej matki, a nieustraszonymi obrońcami lubej Ojczyzny.

